

Bracia Czerniawscy.

Od niedługiego czasu zwrócił na siebie uwagę muzycznych sfer Niemiec i Rosyi, mały ensemblik produkujący się w koncertach urządzanych przeważnie na cele dobroczynne. Na zespół ten składają się trzej malcy, grający z zapałem, muzykalnością i przecuciem piękności muzycznych, zawartych w wykonywanych przez się utworach. Mamą tu na myśli trzech braci Czerniawskich, których popisy zyskały sobie ogólne uznanie tam, gdzie tylko mieli sposobność popisować się swą sztuką. Najstarszego z nich Leona uważa referent muzyczny pisma „Nordirlandische Zeitung“ za wirtuoza daleko już posuniętego w swej sztuce i opanowaniu instrumentu i uważa go za dobrego skrzypka, którego produkcję słucha się z prawdziwym zadowoleniem estetycznym. Młodszy brat, wiec małego wirtuoza ośmioletni wiolonczellista Oleś Czerniawski, tudzież dziesięcioletni pianista Jan, dostrajają się do poziomu gry najstarszego brata, starając się wspólnymi dziecięcymi siłami stworzyć dobry ensambel.

Mamą przed sobą całą księgę referatów z różnych pism zagranicznych, wyrażających się o produkcjach małego tria z wielkiem i pełnem zachęty uznaniem, nazywając ich występy tem bardziej ożywione i słyszenia godne, że młodzi artyści popisują się każdy z osobna na swych instrumentach, a także tworzą i doskonale zgrane trio, w którego opracowaniu i ogólnem ujęciu wykończoniej strony czuć rękę wytrawnego pedagoga.

Młodziocianych artystów posłysz krakowska publiczność niebawem i będzie miała sposobność ocenić należyte usiłowania owych „cudownych dzieciaków“.



Bracia Czerniawscy.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

1

I. Zagadkowa podróżna.

Było to w roku 1872. Pogodny dzień wrześniowy miał się już blisko ku zachodowi, gdy do pewnej wioski w Prusach Królewskich zajechała bryczka zakurzona i zaraz przed pierwszym przydrożnym budynkiem zatrzymała się między innymi wozami, które tu przed karczmą wystawały. Z wnętrza zajazdu głośna buchała wrzawa, było to bowiem po niesporach w niedzielę.

Kiedy z bryczki wysiadła młoda podróżna i przepadła w alkierzu, różni ludzie otoczyli jej woźnicę, zasypując go — jak to bywa — pytaniami.

— A z daleka to jedziecie?

— Pewnie, że nie z bliska. Aż z Płocka.

— No, to niby z Królestwa... To wasza pani?

— Niby moja... nie moja... służyć ta u niej nie służę...

— Toście chyba ino najęty furman?

— A cóżeście ta myśleli, co to jaka dzie-dziczka.

— No, nie dziedziczka znowu, ale się wie, że po klasztorach też konie trzymają... a to przecież jakaś zakonnica... więc musi z jakiegoś jechać klasztoru.

— Nijaka zakonnica, ino zwyczajna terecyarka.

— Terecyarka... Aha — odpowiedziano furmanowi, ale śnać nikt ze słuchaczy nie wiele wiedział z tego wyjaśnienia. Poczem z kolei woźnica, owsa dając koniom, jął się wśród miejscowych rozpytywać, żali to jeszcze daleko do wsi S... Rozśmiali się na to wszyscy, ponieważ do celu podróży miał furman niespełna pół godziny i niepotrzebnie tedy zajeżdżał jeszcze na postój do karczmy przydrożnej.

— A na folwark jaki jedziecie, czyli do samego dworu?

— Widzi mi się, co do dworu, bo wiem, że do samego dziedzica.

— A pocóż tam jedzie ta wasza panna... Przecież tam nikt pono nie chory i siostry miłosierdzia nie potra... A może to jaka krewna, nie?

— Nie zdaje mi się, co by krewna być miała, ale też ona i od miłosierdzia nie jest.

— No pewnie, bo tam dziedzic zdrów... jechał tedy niedawno, z wizytą do naszego proboszcza... Wielcy przyjaciele z naszym jegomością... My zresztą sąsiedzi bliscy, to on tu często do naszej wsi przyjeżdża.

I zaczęto obcemu furmanowi opowiadać dużo

o panu K... wychwalając go bardzo, jakkolwiek ten i ów przemilczeć nie mógł, iż dziedzic z S... uchodzi za wielkiego dziwaka.

— To pono ma być bardzo bogaty pan.

— Oho, okrutnie bogaty, aliści cóż z tego, kiedy z niego taki dobrodziej dla wszystkich, co by ze siebie zdjął i koszulę, a dał drugiemu... Jak tak dalej pójdzie, to z wielkiego majątku nie wiele mu ta ostanie... rozda wszystko... Kto mu się ino umie podliznąć, a powiedzieć, że potrzebuje... to wszystko dostanie od niego, co by nie zechciał... taki już zacny pan... serce okrutnie pocziwie... A nabożny, w tem już mu chyba żaden drugi dziedzic w okolicy nie dorówna, nieчем proboszcz w jego wsi!

Przerwano rozmowę, bo właśnie młoda podróżna z Płocka wyszła z powrotem z zajazdu, nagląc furmana do dalszej drogi, by jeszcze przed zachodem słońca dojechać na miejsce.

Za chwilę bryczka, wieś minawszy, potoczyła się pośpiesznie po gościńcu i znikła w tumanie kurzu.

Za grupę lip nad sadzawką we wspaniałym parku zapadało złociste słońce, gdy bryczka z Płocka zjawiła się na ogromnym dziedzińcu dworskim i wśród przeraźliwego ujadania psów, okrążyła powoli kolisty trawnik ze studnią pośrodku.

Przed staroświeckim gankiem okazałego domu wstrzymał furman konie i obrócił się na koźle w stronę siedzącej na bryczce kobiety, która jednak wcale nie myślała wysiadać i wyglądała, jak gdyby jeszcze nie zauważyła, iż stanęli u celu podróży. Czekał furman chwilę, wreszcie zeskończył na ziemię.

— Dyć przecie zajechaliśmy na miejsce — zagadnął, opędzając się batem przed psami, których hałaśliwe a przydługie ujadanie wywabiło do okien kilka głów, tu i owdzie wyglądających z ciekawością, kogo tam dał Bóg w gościnę.

I w progach bocznych zabudowań zjawiać się jął czeladź, prónująca przy okazji niedzielnej i strojnej odświeżenie. Jeden za drugim wysuwał się ku środkowi dziedzińca, gapiąc się coraz ciekawiej.

Niezwykła to bowiem była wizyta. Chyba, że po kweście. Strój jednak podróżnej zgola nieznamy, a osoba już najdziwniejsza.

Stanęła bryczka i stoi, a gość wysiadać nie myśli.

Przydreptała tedy i klucznica stara na ganek, zawołała od proga gościnie „Pochwalony“ — ale „Na wieki“ odrzucił jej tylko woźnica. Pani zaś sama na nic ni na nikogo nie zważając, nie przerywała sobie wcale różańca, który odmawiać zaczęła, właśnie dopiero wjeżdżając w dworskie obejście. Sukienka jej prawie klasztorne habity przypominająca, nakazywała klucznicy pewne uszanowanie, więc sama będąc osobą pobożną, jakkolwiek wszystko jej się jakoś dziwnie przedstawiało, nie

chciała przeszkadzać gościowi w modlitwie i tylko, głos zniżając, zagadnęła furmana:

— A skądże Bóg prowadzi? Akuratnie pana w domu nie ma, ale nic nie szkodzi... Zapewne po kweście... Zdaleka?

— Nie wiem ta, proszę pani starszej... Przyjechaliśmy z Płocka... Myślę, co do dziedzica tutajszego z jakim interesem — poczem zaraz zwracając się do zatopionej w modlitwie podróżnej, rzekł głośnie: — Pytają, z jakim interesem i do kogo się przyjechało... Niechże pani wysiada — dorzucił nieco już zniecierpliwiony, ale pełen oburzenia gwałtowny ruch głowy modlącej się osoby, którym zabraniała przeszkadzać sobie w dokończeniu różańca, zmusił go do milczenia.

Ruszył ramionami woźnica i zwrócił się do swoich koni, a staruszka, kluczami u pasa dzwoniąc, zabrała się do uspakajania psiej gromady.

Tymczasem cała już służba na dziedzińcu wyległa, spoglądając jak na dziwowisko. Z wielkiej bowiem pobożności znała czeladź swego pana i nie mniej pobożnych widywała w jego domu gości nigdy aliści nie natrafiła na tak osobliwy przypadek. To prawda, tym razem gościem była zakonnica, nie wiadomo z jak surowego klasztoru, więc ten i ów, a kucharz w szczególności, zaczął przypominać, a młodszym zwracać uwagę, jako to różna bywa w zakonach reguła... A nuż właśnie godzina różańca przychwyciła podróżną w takiej porze, gdy bryczka przed dwór zajeżdżała — i trudno duchownej osobie zważać na świeckie okoliczności...

Wtem skończywszy pacierze, wysiadła z bryczki przed ganek średniego wzrostu kobieta, której kształty ginęły w fałdach do szarego habita podobnej sukni, ogromnym różańcem przepasanej. Wydawała się młoda jeszcze, jakkolwiek bladej twarzy nie można było od razu przypatrzyć się dokładnie. Tyle tylko z miejsca zauważyła stara klucznica, że nieznajoma musi źle widzieć na jedno oko.

Ledwie, zapraszając gościa do środka, oświadczyła staruszka, że dziedzic wyjechał z wizytą, gdy na końcu dziedzińca zaturkotało.

— Ot właśnie wraca pan Edward.

Jednocześnie psy się zerwały z pod ganku i pognały na spotkanie powozu. Dziedzic jednak nie zajechał przed sam dwór, ale zaraz u wjazdu na dziedzińiec wysiadł, powóz odprawił ku stajniom w bocznych zabudowaniach, a sam pieszo, witając się z psami, zmierzał powoli do domu, ze zdziwieniem przypatrując się już zdaleka jakiejś nieznajomej mu bryczce, stojącej przed gankiem.

(Dalszy ciąg nastąpi).